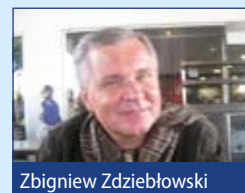


## Z Małgorzatą Kalicińską, autorką bestsellerowych powieści „Dom nad rozlewiskiem”, „Powroty nad rozlewisko” i „Miłość nad rozlewiskiem”, rozmawia Zbigniew Zdziebłowski



Zbigniew Zdziebłowski

ZZ: Dzień dobry, Pani Małgorzato. Gdzie Pani teraz jest?

MK: Aktualnie w podróży. Maryla Nasza Kochana śpiewała lirycznie – „ja w podróży...”

Jestem w Azji, konkretnie w Korei. Jak napisałam w blogu – całym sobie prywatnie tu mieszkam i żyję powoli dzięki życzliwości miłej osoby, mam możliwość poznawania tutejszej kultury, obyczajów, miejsc. Odpoczywam, ale i pracuję.

ZZ: Przed świętami, dokładnie 22 grudnia, na swoim blogu napisała Pani:

„Kochani!

Kochani! Znaczy – Kochane i Kochani!

Wróciłam z weekendu w Seulu.”

Zdaje się, że blog to Pani nowa forma literacka. Literacka? A może to tęsknota za bezpośrednim kontaktem ze swoimi czytelnikami? Znowu jednak ten Seul...



W Korei teraz kwitną kamelie

MK: Nie mam takich tęsknot, bo czytelnicy dopieszczają mnie bardzo, bardzo troskliwie. Blog nie jest formą, którą aktualnie literacko przedkładam – to było zamówienie, a realizowałam to z ciekawością, bo to dla mnie nowość. Jak powiedziała moja córka: „znów napisałaś minipowieść a nie bloga, nie nadajesz się na blogerkę”. Może. Podobno „świadoma blogerka” komunikuje się z czytelnikami wkładając czasem patyczek w mrowisko, prowokując... No to ze mnie faktycznie blogerka do bani.

A Seul to przystanek. Poznawczy.

ZZ: Opowiadała mi kiedyś Małgorzata Musierowicz, że do pisania zachęcił ją brat.

Oczywiście jej brat to nie byle kto, tylko sam Stanisław Barańczak i pewnie gdyby taki ktoś powiedział każdemu z nas: masz talent, pisz – każdy zacząłby pisać! J. K. Rowling, autorka książek o Harrym Potterze, rozpoczęła swoje pisanie w iście amerykańskim stylu, jako bezrobotna, która gdzieś w kawiarni wpada na genialny pomysł. Przynajmniej tak to przedstawia. A u Pani jak to się zaczęło?

MK: No, niestety. Mam tylko jedno życie, jeden życiorys... Nie-

którzy już wiedzą z poprzednich wywiadów, że gdy przyszły chude krowy i, jak mówią, „życie ciepnęło mną o bandę”, bardzo mi się zrobiło źle w duszy, w głowie, w ogóle. Moja córka świadoma faktu, że dobrze piszę, że mam (jeszcze) dobrą pamięć zamówiła u mnie spisanie dziejów rodzinnych. „Mamo, pisz niespiesznie, z klimacikami, o babci Heli, o dziadku, o działce i o czym chcesz, bo jak cię zabraknie – kogo będę pytać?”. Spisałam dzieje mojej rodziny bogato, baaaardzo bogato kraszając je wspominkami z podwórka, bo takie jak moje, twoje, nasze podwórko, dzisiaj żadne już chyba nie jest! Mąż wkleił rodzinne zdjęcia – wydrukował, oprawił i każdy z rodziny taki gwiazdkowy prezent dostał!

Kiedy to się skończyło, w głowie załęgło się nowe wyzwanie jako odskocznia od tych chudych krow. „Dom nad rozlewiskiem” był pisany do szuflady, a że wylaż... Niektórzy się cieszą, inni – wcale. Oj! dostałam już i wiaderko zimnej wody, i niezłe baty jako „największa porażka roku”. Za to w dobrym towarzystwie!

ZZ: Pewnie specjaliści od wizerunku wymyśliliby Pani jakąś fascynującą historię o tym, jak się zaczęło, ale jak proponować takie działanie osobie, o której mówią, że jest pisarzem prawdy i trafia bezpośrednio do serc...

MK: Oj, chyba coś zaniedbałam. Specjaliści od wizerunku? Hmm. Nie mam nikogo takiego!

Może faktycznie – powinnam? Jak przeczytałam ostatnio, skandale i plotki o Dodzie przyniosły (ciągle nie wiem czy tylko jej, czy też owym specem?) około 100 mln PLN zysku. Może więc powinnam?

Ale jak tu plotkować o dojrzałej, dosadnej, szczerzej do bólu pani domu? Że przypaliłam barszcz? Że moja suka ma cieczkę i cztery noce leżeli przed moją furtką zalotnicy (do niej, nie do mnie, oczywiście). Jestem nieatrakcyjna dla plotkarzy: w jesiennym wieku, niepiękna, niezbyt medialna. Nad plotkami, kłamstewkami trzeba jakoś panować, generować je, podtrzymywać, zagogniać, a to głupie, nudne i szkoda mi czasu.

Chyba pozostanę przy szczerości i prawdzie – to bezpieczniejsze. I tak nie osiągnę ideału pań i panów z Pudelków, Kozaczków i innych medialnych „Sweets and shits Centers”

ZZ: Jedną z Pani czytelniczek napisała, że Pani twórczość jest dużo lepsza od Grocholi. Czy często porównują Panią z innymi autorami?

MK: Bardzo nie lubiłam (i nie lubię) sama porównywać kogoś z pisarzy do innego pisarza, chociaż to chyba nieuniknione. Są fanki Kasi, mam swoje i ja, i Monika Szwaja, i Izabela Szolc, i Hanka Kowalewska, i inne koleżanki, do których „doszlusowałam” jako osoba pisząca. Mam więc grono wielbicieli, które jednak nie zamykają się przeciw tylko do swojej idolki. Czytają każdego autora, na którego mają ochotę.

Tessa Capponi-Borawska pochodząca z Toskanii napisała, że w jednym z miast, w księgarni jest specjalny regał dla tych wszystkich, którzy zwiedzając albo decydując się na osiedlenie w Toskanii nagle poczuli wewnętrzny mus i napisali o niej (o Toskanii, nie o Tessie, choć i o niej warto by...) książkę. Czy to znaczy, że każdą z tych osób trzeba porównywać do Petera Mayle’a? Tessy Capponi-Borawskiej? Frances Meyes? Chociaż z drugiej strony, jeśli pisarstwo owych osób układa się w jakiś ciąg tematyczny, nastrojowy, ma wspólny mianownik – to

naturalne. Powstał taki dział powieści, w których odciska się silne kobiece piętno: to sposób reagowania na świat, emocjonalność, rodzinność, śmiech przez łzy, łzy jako takie – gorące, kobiece, większa wrażliwość na naturę i to właśnie jest ten nasz wspólny mianownik.

I nie tylko kobiety tak piszą! A jeśli jestem porównywana do dobrego pisarza to tylko zaszczyt, przecież jestem debiutantką.

ZZ: Czy spodziewała się Pani takiego sukcesu? Co on dla Pani znaczy?

MK: Gdy już zdecydowałam się i dowiedziałam, że moja powieść idzie do druku, modliłam się w duchu, żeby nie spadać ze zbyt wysokiego konia. Przecież i tak, myślałam sobie czasem na głos, dość już oberwałam. Pamiętam o swoim miejscu w szeregu i nie pompowałam mnie nigdy pycha.

Sukces... takie dziwne słowo, nie do końca jednoznaczne. Mój sukces to trafienie do serc, bo naprawdę wiele dostaję listów, maili o tym, że czyjes życie się odmieniło, że ktoś znalazł pomysł na odwrócenie swojej złej karty (albo karty nudy), że komuś pomogłam podjąć ważne decyzje: „Pani Małgorzato. Od 16 lat nie rozmawiamy ze sobą – ja i mama. Zapięła złość przeszła w głupią i upartą ciszę. Po przeczytaniu Pani książki postanowiłam: jadę do mamy i już wiem jak sobie pogadamy. Dziękuję.”

Albo moja ulubiona męska reakcja na „Dom nad...” Pan napisał, że „po lekturze tej powieści inaczej postrzegam problemy pań w mojej firmie, inaczej rozmawiamy, doceniam je. Inaczej też rozmawiam z żoną – chcę dać jej więcej siebie, więcej czasu.”

No więc to jest chyba mój sukces. Ma niebiański smak! I mimo narzekania osób zawodowo zajmujących się krytyką, że jestem taka, że siaka, że powieść, że język, że dzieje, itp. wiem, że nie trafiłam w próżnię, że skoro na Kalicińską w bibliotekach są zapisy – warto przelykać i gorzkie piguły od krytyki „oficjalnej” i od tych, którym „absolutnie nie wchodzi”.

ZZ: Co w życiu kobiety jest według Pani najważniejsze?

MK: Na 100% dom i rodzina. Jestem feministką stonowaną, normalną – żądam dla nas, kobiet absolutnie równego statusu prawnego, szacunku, dostępności do stanowisk i tego, żeby uszanować ogrom naszej pracy w domu i przy dzieciach. To nie ma znaczenia dla funkcjonowania domu czy panuje wariant tradycyjny (tata pracuje, mama jest w domu), czy partnerski, byleby nie czynić z kobiecej pracy w domu bata „pani nie pracuje”.

Pracuje, pracuje! Skądś się biorą czyste koszule, skarpetki, rosół i odchowane dzieci. To usługa wzajemna, wybór, dogadanie się.

Każdy z nas świetnie się czuje w dobrym, ciepłym domu, Ignie do takiej mamy, takiego taty, którzy zapewнили poczucie bezpieczeństwa, miłość i czułość. Ja taki dom lubię!

Co jeszcze? Miłość. W moim przypadku – ważna. Nie tylko czerpanie miłości, czucie się kochaną, ale kochanie moich bliskich. Nadzwyczajnie lubię to właśnie – kochać, obdarowywać, okazywać. Może nie jestem w tym mistrzynią ale staram się.

No i też ta miłość osobista bardzo, sensualna, codzienna, dobra, moja, z moim mężczyzną, dłoń w dłoń...

Reasumując, najważniejsze to spełniać się życiowo i zawodowo, w harmonii.

ZZ: Odwołała się Pani kiedyś do słów Joanny Szczepkowskiej: „ból musi wyboleć, łzy muszą wypłynąć”. Pamięta Pani kontekst tej wypowiedzi?

MK: Pamiętam, bo stale się tymi słowami dzielę z czytelniczkami i czytelnikami na spotkaniach. Cóż dodać? Może jeszcze i to, że „los jedną ręką zabiera, ale drugą daje” – trzeba to zauważyć.

Pocieszenia „przezań, będzie dobrze, zobaczysz” choćby nie wiem jak okazały się prorocze, nie dają w danym momencie realnego pocieszenia. Ból musi wyboleć, bo ból po stracie jest, bywa bardzo silny i nie ma na niego żadnej morfiny...

Czas leczy, powoduje stopniową ulgę. I pomna nauk na psychologicznych warsztatach powtarzam: nie wolno rozdrapywać, ciągnąć rozpaczę za sobą, w nieskończoność.

Kiedyś trzeba otworzyć okno, wpuścić do duszy słońce. Wyjść do ludzi, do życia. Brzmi patetycznie, ale tak właśnie jest.

ZZ: Może opowie teraz Pani o swojej przygodzie z telewizją. Wyczytałam, że była Pani researcherką w TVP1 w programie „Kawa czy herbata”. Co to takiego researcherka?

Czy były jeszcze inne programy i produkcje?

MK: W czasach, gdy pracowałam mało było researcherów i nie znaleziono dla nas odpowiedniej nazwy. Asystent- dokumentalista? No... ciepło, ciepło. Używano nazwy anglojęzycznej.

Wiele się nauczyłam jako ktoś taki, kto szuka, dopytuje się, dzwoni, rozmawia, umawia gości i daje prowadzącym materia-



Stara koreańska wieś – fajnie tu!

ły na ich temat. W „Kawie czy herbacie” pracowałam (też na planie) z Iwoną Schymallą, Krzysztofem Kotowskim, Pawłem Pochwałą i Krzysztofem Dużyńskim. Również z innymi twórcami, realizatorami pracującymi „od kuchni” – wspaniałymi ludźmi. Witamy się zawsze bardzo serdecznie.

Miałam też swój udział w programie o naszym bezpieczeństwie, kręconym wraz z Komendą Główną Policji „Żyć bezpieczniej”. Współpracowałam z twórcami tego programu czyli z Krzysztofem Kotowskim (tak, tak! z tym samym, obecnie pisarzem – „Marika” „Kapłan”) i z dr. Zbigniewem Żaroniem z KG.

Również z Krzyskiem tworzyliśmy program o problemach osób niepełnosprawnych – „Forum nieobecnych”. Wiele się nauczyłam. To był ciekawy etap w życiu.

ZZ: Zapoznałam się z Pani refleksją po przeczytaniu książki Wojciecha Cejrowskiego „Rio Anaconda”. Jeżeli Pani ma ochotę, to proszę trochę o tej książce, ale przede wszystkim o swoich fascynacjach książkowych, filmowych, muzycznych, malarskich opowiedzieć.

MK: Znakomicie pisze Wojciech Cejrowski i nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Obie obecnie przyznane mu nagrody są zasłużone absolutnie! Urzekł mnie znakomity język, wiedza z zakresu wielu dziedzin (geografia, zoologia, botanika, geologia, kulturoznawstwo, etnologia, znajomość języków, historia i politologia – niebywałe bogactwo!), a także pokora wobec życia, natury i szacunek dla odmienności kulturowych.

Moje fascynacje?

Mniej teraz czytam, był czas gdy czytałam więcej. Powieści oby-



czajowe – zdecydowanie: Wharton, Prus, Irving, Saroyan, Dąbrowska, Meyes, Nienacki („Skiroławki” naturalnie), ale i mój ukochany mistrz Wańkowicz, Eco, Lem. Kiedyś zaczytywałam się fantastyką (Strugaccy, Le Guin, Bułyczow, Aldis, Dick), ale Lema uważam za filozofa.

Autobiografie, dzienniki, pamiętniki. Kompletnie nie interesuje mnie biografia Britney Spears, ale pochłonęłam „odczarowane” dzienniki Marii Dąbrowskiej, Kazimierza Brandysa, po powrocie do kraju zabieram się za dzienniki Krystyny Kofty, za wspomnienie o Annie Kowalskiej (upiornie wciąż mylonej z Anką Kowalską.)

Sporo czeka, woła – chodź, poczytaj mnie! Oj! Czasu, czasu mało!

Więcej za to mam czasu na muzykę. Obecnie jestem w Korei Południowej i tu znalazłam radiowy kanał z klasyką! Wielbię Szopena i Czajkowskiego, w ogóle starych mistrzów, ale i rozczulają mnie Beatlesi – dziś klasyka, częściej „Night in the Opera” The Queen, słucham Pink Floydów (na starość taki się Gilmore zrobił ...interesujący! Mam na myśli nagranie „In the Cincert” – prawie unplugged). Niektóre kawałki Metaliki. Bardzo lubię Buena Vista Social Club, Angeliqwe Kidjo, podoba mi się Katie Melua.

Znakomicie się relaksuję na koncertach klasycznych Nigela Kennedy’ego. To co, że taki inny, szalony! Bardzo mnie zaskoczył i zachwycił swoją interpretacją „Czterech pór roku”, także zagrana na instrumentach z czasów Vivaldiego. Dałam się wyciągnąć na mistrzowski popis „Lord of the Dance” z Michaellem Flatleyem (teraz zazwyczaj wystawia już innych solistów).

Niespełnione marzenie – „Swan Lake” Matthew Bourne’a ze słynnym Adamem Cooperem.

I zapewne wiele innych, choćby zobaczyć prawdziwe flamenco. Zobaczą!

Malarze? Viva secesja! Wyspiański, Malczewski, Mehoffer, niektórzy impresjoniści. Mistrzowie to też ci, którzy umieją malować światło, bez wątpienia Georges de la Tour, Iwan Szyszkin, Ajwazowski.

ZZ: Proszę skomentować lub rozwinąć słowa:

„Mój życiorys jest najlepszym dowodem na to, że na nic nigdy nie jest za późno”.

MK: Przesadziłam. Ja mam dopiero 52 lata!

Po prostu tak się stało, że traciłam, więc próbowałam na nowo – po raz trzeci buduję dom. Kilka razy zmieniałam zawód. Rozwiodłam się z klasą i bez wojny i znalazłam mój Nowy Łąd. Też zawodowy.

Przerażają mnie kobiety, które będąc moimi równoletkami siedzą i czekają, bo „one już...”.

Nie chce im się, nie umieją iść naprzód. Wydaje im się, że skoro odchowwały dzieci to już koniec... Teraz wnuki i dzianie skarpet.

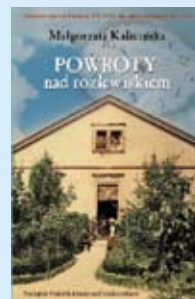
A przecież 45+ to czas na siebie! Inwestowanie w wiedzę, hobby, umiejętności stare albo nowe. Niestety, czasem coś się rozpada – więzi, związek. Przykre, ale to nie koniec świata.

Przez zamknięte okno motyle nie wlatują (to moje powiedzonko, proszę korzystać!).

Na miłość to w ogóle nigdy nie jest za późno.

Lubię opowieść o Lwie Tołstoj, jak to mając 72 lata pożarł się z żoną już ostatecznie (bardzo się klóćcili, baaaardzo). Spakował się i trzasnął drzwiami wykrzykując, że wyjeżdża i zamierza zacząć wszystko na nowo! Na stacji przesiadkowej zmarł.

Piękne i wcale nie smutne. Przecież miał serce wypełnione nowym życiem, nowym pomysłem. A ja nie mam jeszcze siedemdziesięciu dwóch lat.



ZZ: „Dom nad rozlewiskiem”, „Powroty nad rozlewiskiem”, „Miłość nad rozlewiskiem” – te trzy części sagi to już całość czy będzie coś jeszcze? Czy może przyjdzie wydawca, dotknie ramienia i powie: potrafiśz! , a Pani weźmie się do pisania i powstanie chociażby tom „Pożegnania nad rozlewiskiem”?

MK: Nie! Mam mądrego wydawcę. On wie, że kasa, popularność to nie wszystko.

Trzeba zauważyć moment, w którym dalszy ciąg zbyt łatwo może się zamienić w „ciąganie flaka”.

Odpoczywam od rozlewiska. Zabawiałam się w felietonistkę i jeżeli moja szefowa Joanna Laprus-Mikulska z „Bluszczą” uzna że jestem jej potrzebna, chętnie pozostanę przy tej „zabawie”, która wcale nie jest taką lekką i łatwą formą. Muszę się jeszcze sporo nauczyć. Wracając do mojego wydawcy – patrzy na mnie z dobrotliwą miną i zapewnia: spokojnie, pani Małgosiu, ja poczekam!

Pośpiech by zdążyć dla czytelników z „Miłością...” dał w efekcie kilka zabawnych chochlików w tekście. Trudno. Teraz się nie spieszę! Pan Tadeusz wie, że ilość bywa wrogiem jakości. Nie będę strzelała powieściami jak z kałacha, chyba nie warto.

ZZ: Nie lubi Pani wielkich miast?

MK: Lubię. Kraków lubię i Barcelonę, i Praga taka piękna jest, ale faktycznie coś mnie ciągnie na wieś. Ja umiem żyć i być na wsi. Napawa mnie radością i spokojem widok pastwisk wieczorami, gdy parują – one i pobliskie łąki, gdy las zmienia szatę z letniej na jesienną, nawet gdy świat moknie za oknem, a w piecu buzuje ogień. Cudnie jest, bo w moim domu musi być też piec! Ściółka grzybna pachnie w lesie i słońce przeświecać przez gałązki. Nie ma hałasu miejskiego, schodów, wind, samochodów mknących na złamanie, wariackich centrów handlowych... Czas wolniej płynie, a jak już się donikąd nie spieszę. Zegarek i biużuterię mogę, jak Mama Muminka, trzymać w stawie, bo ładniej wyglądają pod wodą. Zamienię obcasy na kalosze, na drewniakki naprawdę chętnie.

ZZ: Jak Pani myśli, jakie tęsknoty i marzenia zaspokajają Pani książki?

MK: Życia w zgodzie ze sobą, z naturą. Powrót do zwyczajności, prostszych relacji. Myśmy strasznie się zrobili agresywni, butni, przewrażliwieni, żądni ostrych reakcji, przeżyć głośnych i mocnych. W moich powieściach żyje się ... łagodniej, bo tak naprawdę można.

Ludzie kochają zwyczajnie, jedzą śpią i mówią zwyczajnie. Może to?

ZZ: Czy książki Pani będą filmowane? Ktoś może już ma jakieś plany?

MK: „Dom nad ...” ma być serialem. Może i „Powroty...”? Ciągłe nie możemy trafić – mówię o realizatorach – w odpowiedni ton. Reżyser i cała ekipa szukają sposobu, metody na ten serial. I niechaj się on staje wolniej, ale może przez to będzie bardziej dopieszczony?

ZZ: Bardzo dziękuję

wywiad